

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie		REDAKCJA i ADMINISTRACJA	CENY OGŁOSZEŃ:
Rocznie	7.00	Ś. Jerska 15 m. 26	Przed tekstem za wiersz petitu 50 k
Półrocznie	3.50	Otwarte codziennie prócz świąt od 11 godziny do 4 pp.	W tekście (nadesłane) 1 rb.
Kwartalnie	1.75	Skrzynka pocztowa № 52	Po tekście 20 k.
Miesięcznie	60		Numer pojedynczy 15 kop.
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu			
Rocznie	8.—		
Półrocznie	4.00		
Kwartalnie	2.00		
Miesięcznie	70		

Ostatni zeszyt „Przeglądu Wileńskiego“ mylnie został oznaczony numerem 41 — 43. Powinno być 43—45.

Za wiele i za mało.

Coraz częściej powtarzające się wypadki wyzbywania się majątków przez właścicieli ziemskich zaczęły wywoływać na szpaltach naszych pism zachowawczych głosy trwogi i oburzenia z nieodzowną deklamacją na temat „noblesse oblige“. Nieunikniony proces ekonomiczny rozdrabniania się większej a zwłaszcza średniej własności ziemskiej, nie przystosowanej w wielu wypadkach do nowoczesnych warunków produkcji, a przeto nie będącej w stanie zapewnić odpowiedniej do wartości kapitału renty — wciąż jest traktowany jako zjawisko społeczne wypadkowe, jako wynik złej woli lub lekkomyślności jednostek. Stosownie do tego zapatrywania analiza publicystyczna grzeszy zupełnym brakiem podstaw naukowych, natomiast przybiera charakter kazania, utrzymanego w tonie wysokiego patosu.

Racjonalne stawianie kwestji utrudnia w znacznym stopniu rozpowszechniony szczególnie na naszym gruncie pogląd na rolę ziemianstwa, jako warstwy przodującej w społeczeństwie i powołanej do odegrania misji wybawicielskiej. Jest to oczywiście przeżytek z czasów, gdy szlachta istotnie reprezentowała naród i o jego losach decydowała. Że dziś jest inaczej — zbytecznym było by chyba tego dowodzić. Niemniej publicystyka nasza przeważnie nie bierze pod uwagę zmian dokonanych lub dokonywających się w układzie sił społecznych i po staremu operuje wytartymi ogólnikami, rażącymi swym anachronizmem.

Traktowanie ziemianstwa jako odrębnej kasty, mającej swe specjalne cele i powołanie prowadzi jedynie do tego, że warstwa ta uważa się za uprzywilejowaną w społeczeństwie i wyjętą z pod kontroli

ogółu. Wytwarza skutkiem tego własną ideologię i uprawia własną politykę, nacechowaną wyraźnym egoizmem klasowym.

Nie można mówić o „obowiązku ziemian“, jako o czemś odrębnym, jako o posłannictwie dziejowem i nie można redukować tego obowiązku wyłącznie do utrzymania się przy ziemi, jak to czyni p. J. Hł. w „Kurjerze Litewskim“.

Przedewszystkiem należy ściśle sformułować tezę. Sprzedaż ziemi w obce ręce jest bezwątpienia czynem karygodnym ze stanowiska narodowego, nie dlatego jednak, że ziemianin sprzeniewierza się przez to tradycji rodzinnej, lecz dlatego, że kultura polska bezpowrotnie lub na długo traci jedną ze swych płacówek. Ale tak samo godnym potępienia jest wyzbycie się na rzecz obcych wszelkiego przedsiębiorstwa finansowego lub handlowego, zakładu przemysłowego, nieruchomości miejskiej. Więc nie o specjalnym obowiązku ziemian powinna być mowa, lecz o obowiązku polaka, niezależnie od jego przynależności do tej lub owej grupy społecznej, utrzymywania w swem ręku siły ekonomicznej.

Błędem natomiast byłoby z punktu widzenia interesów narodowych wymaganie, aby dana jednostka siedziała koniecznie na roli, chociażby nie miała po temu żadnych kwalifikacji lub nie miała do tego rodzaju pracy zamiłowania, jedynie na tej podstawie, że otrzymała kawał ziemi w sukcesji. Upieranie się *coûte que coûte* przy gospodarstwie, gdy się ma, dajmy na to, powołanie do muzyki, wytwarza właśnie ten niepożądany stan rzeczy, jaki obserwujemy obecnie, przy którym cały szereg niedołęgów tamuje rozwój racjonalny rolnictwa w kraju.

Czas już wielki przestać się zapatrywać na stanowisko właściciela ziemskiego jako na jakiś zaszczyt czy odziedziczoną synekurę, na ziemię zaś jako na pamiątkę rodzinną a nie jako na warsztat pracy.

Na ziemi powinien siedzieć rolnik — fachowiec, nie ziemianin z fanaberjami szlacheckimi, gospodarzący według własnej fantazji i przyzwyczajony zgodnie z tradycją rodzinną, do życia zbytkownego, na które obecne dochody wystarczyć mu nie mogą.

Ewolucja w tym kierunku zwolna, chociaż niepostrzeżenie się odbywa. Nieracjonalna gospodarka, nieumiejętność administrowania—ustawicznie zmuszają właściciela ziemskiego do pozbywania się swego rodzowego gniazda. Trudno wymagać odeń, aby w imię tradycji laź w długi i poprzestawał na mniejszej renicie, gdy kapitał odpowiadający wartości posiadanej ziemi, przy innej lokacie zapewnia mu znacznie wyższy procent. Nie tylko trudno, lecz i nie należy, gdyż bezużyteczny w jego rękę warsztat — w innym bardziej, odpowiedniemu może funkcjonować racjonalnie i przyczynić się do podniesienia ogólnego dobrobytu kraju.

Sam fakt więc sprzedaży majątku—jak to zdaje się rozumieć p. J. Hł.—bynajmniej na nagane nie zasługuje. Chodzi o to tylko, kto jest nowym nabywcą. Na tę stronę właśnie prasa nasza powinna kłaść nacisk. Sprzedawczykowstwo w obce ręce jest objawem zupełnego zaniku poczucia obywatelskiego i narodowego i musi być piętnowane z całą surowością. Presja moralna w strony opinii publicznej może w tym względzie działać nie mało i położyć tamę rozluźnieniu bezwzględnie obowiązującego do niedawna nakazu. Przychodzenie dobrowolne z pomocą Bankowi Włociańskiemu, instytucji o wyraźnie politycznym charakterze — urąga elementarnemu poczuciu obowiązku względem własnego społeczeństwa i może być stawiane w rzędzie najbardziej jaskrawych faktów zaprzaństwa narodowego. Tembardziej, że sprzedawczyk nie może się zaślaniać koniecznością finansową, bowiem popyt na ziemię, mimo cen wysokich, wzrasta i chętnych nabywców — polaków — nie brak.

Pozostaje zaś jeszcze inna droga, dość często w ostatnich czasach używana — parcelacja. Środek ten, stosowany z myślą obywatelską, mógłby się stać skutecznym antidotum przeciwko działalności Banku Włociańskiego i bynajmniej nie zasługuje na tę pogardliwą ocenę, którą rozpowszechniają gorliwie apologetyci wielkiej własności ziemskiej. Zarówno pod względem społecznym jak narodowym rozwój drobnej

własności w naszym kraju wpłynąć może tylko dodatnio. Zresztą wszelka opozycja przeciwko normalnym procesom ekonomicznym jest wysiłkiem bezcelowym i daremnym, natomiast bardzo mało dotychczas zrobiono, by sprawę tę uregulować, a przynajmniej zbadać gruntownie.

O wiele bardziej przysłużył by się „Kurjer Litewski“ sprawie narodowej, gdyby omówił wyczerpująco kwestję parcelacji, zamiast wmawiać w ogół ziemianom, że jedynym jego obowiązkiem jest utrzymanie dotychczasowego stanu posiadania i poczucie solidarności klasowej.

Tego bowiem stanowczo za mało.

Dbalność o wzrost siły ekonomicznej społeczeństwa wówczas tylko na dobre mu wychodzi, gdy jednocześnie nie zasklepia się ono w ramach dobrobytu materialnego, lecz rozwija w sobie pierwiastki duchowe, idealne. Zamknięcie widnokręgu myślowego linią kopców granicznych swych dóbr a chociażby nawet bardziej odległą perspektywą dworów sąsiednich—wytwarza tak rozpowszechniony dziś u nas typ ziemianina mało uspołecznionego, obojętnego na sprawy publiczne, nie rozumiejącego zupełnie szerszych aspiracji narodowych, zacoфанego i przesiąkniętego parafjalnym obskurantyzmem.

Nawet „Kurjerowi“ nie może wszakże chodzić o utrwalenie tego typu karykaturalnego.

Więc prócz nawoływań do utrzymania ziemi i starannej jej uprawy, należy temu ziemiaństwu przede wszystkim tłumaczyć, że jest ono jeno składową częścią organizmu społecznego, która powinna być skoordynowaną z pozostałymi i że zbytnia jej wybujałość szkodzi tylko sprawności ogólnej mechanizmu, że obowiązkiem jego, jest dbać o podniesienie poziomu kulturalnego społeczeństwa, brać żywy udział we wszystkich jego troskach, bólach i radościach, że istnieją powinności, które są udziałem każdego obywatela kraju, czy jest on rolnikiem, lekarzem lub rzemieślnikiem...

Specjalne zaś zadania ziemiaństwa wpływają je-

MICHAŁ KRYSPIŃ PAWLIKOWSKI.

Ostatni idjota.

(Fantazja).

Dwudzieste stulecie minęło, a za niem, naturalnym rzeczą porządkiem, przeszło dwudzieste pierwsze i dwudzieste drugie.

Postęp, jak centaur o dwóch głowach, z których jedna była Wiedzą, a druga Głupotą, wciąż pędził przed siebie w zawrotnym biegu.

Wynalazki i odkrycia sypały się jak z worka: to, co było w barbarzyńskim dwudziestym wieku fantastyczną bajką, stawało się ciałem.

Wiedza tworzyła, zmieniała, ronila, przeżywała kryzysy, chorowała, znów zmartwychwstawała i naprawiała.

Można ją było porównać z chorem kapryśnym i żadnym poznania dzieckiem. Wciąż pragnęła więcej, wciąż dążyła przed siebie, wciąż ronila lub pomyślnie płodziła wynalazki, odkrycia, nowe prądy i idee.

A druga połowa Centaura - Postępu biegła za Wiedzą ręką w rękę, jak siostra rodzona. Odrazu rzucało się tu w oczy niepodobieństwo familijne i fi-

lozofowie zastanawiali się, czy czasem Wiedza i Głupota są siostrami nierodzonymi? Wiedza była kapryśną, Głupota—zrównoważoną i poważną; Wiedza irytowała się, płakała, lub śmiała się z radości, Głupota zawsze miała na twarzy tępy, dobroduszny wyraz. Wszystkie wynalazki, zrobione przez siostrę, Głupota krytykowała łagodnie, przyjmowała i przywłaszczała, modyfikowała i, w rezultacie, psuła.

W taki sposób, chociaż postęp pędził przed siebie z zawrotną szybkością, porządek rzeczy w istocie nie zmienił się. Wynalazki Wiedzy chłoneła Głupota i w XXIII-im wieku było tak samo, jak w XX-ym.

Wkońcu jednak gienjusz Wiedzy zwyciężył do brodusznie-sytego demona Głupoty.

Pewien uczony odkrył i zbadał mikroby idjotyzmu i od tej chwili ciężka ta choroba (z którą w XX-ym wieku walczono bardzo prymitywnie, bo—organizowaniem „Ligi walki z idjotyzmem“ i „Dnia blekotu“), stała się uleczalną.

Nie było więcej idjotów na ziemi.

Wszyscy zmienili się w gienjuszów, wszyscy rozumieli genezę zła na tym padole płaczu, pojęli mądrość chrześcijańskich zasad i rozpoczęli nowe, szczęśliwe, wolne i braterskie życie.

Znalazł się jednak człowiek, który nie pozwolił sobie zastrzyknąć preparatu 718, skutecznie zabijają-

dynie z wyjątkowej jego sytuacji—możności stykania się i obcowania z ludem wiejskim. Ale wychowane w atmosferze wyłączności kastowej przeważnie nie jest zdolne do spełnienia istotnego swego obowiązku — oddziaływania na masy włościańskie w imię ideałów demokratycznych i spłacenia w ten sposób długu względem Rzeczypospolitej, która—jak słusznie p. J. Hł. zaznacza — hojnie szlachtę uposażała, kosztem — dodajmy od siebie — ludu pracującego.

Lecz dajmy spokój zakusom kaznodziejskim...

L. A.

Sentymentalizm polityczny.

Sentymentalizm w polityce, należący do metod bałamucenia tłumów, dawno już nie przechodził prób tak ciężkich, jak obecnie. Wszystkie hasła humanitarne, które od niepamiętnych czasów maskowała tkliwa Europa swój stosunek do Turcji, zostały doszczętnie zdyskredytowane, przyczem błysk światła padł i na sprawy dalsze, odsłaniając istotne pobudki i sprężyny polityki międzypaństwowej.

Ostatnia wojna bałkańska porwała w strzępy zasłone, utkaną z blagi dyplomatycznej. I oto, miast dręczonych chrześcijan i dręczących „pogan“, ujrzelśmy w zdumieniu jednaką po obu stronach dzicz, dla której okrucieństwo jest normalnym spółczynnikiem życia gromadnego. Okazało się, że nie ten lub inny sposób modłów, ale stopień kultury decyduje o poziomie moralności tłumy; że ludy Bałkanu — tak chrześcijańskie, jak muzułmańskie—jednak są obce cywilizacji, a piekło, wśród którego żyły pod berłem padyszacha i które tak wzruszało „sumienie Europy“—było środowiskiem, właściwym powszechnemu barbarzyństwu.

cego drobnoustroje idjotyzmu. Żadne perswazyje nie pomogły i ludzie, pijani szczęściem, dali mu święty spokój, nazywając go pobłażliwie, bez ironji (która nb. istnieć przestała)—„ostatnim idjotą“.

Ten ci to ostatni idjota był jedynym człowiekiem, któremu to nowe życie wydawało się idjotycznym. Nie pojmował, jak można żyć prymitywnie, bez pieniędzy, bez nierówności, bez ucisku, bez nierównej walki potężnego Zła ze słabym Dobrem.

Powoli w głowie tego ostatniego idjoty zrodził się plan gienjalny. Postanowił, udając gienjusza, t. j., niczem się rzekomo nie różniąc od swych spółbraci, zawiadnąć całym światem.

Udało mu się to całkowicie, bowiem ludzie, pijani Szczęściem i nieznający Zła i Głupoty, bezwiednie wpadali w zastawione na nich sidła, oddając się powoli na łaskę i niełaskę idjoty, który teraz otrzymał tytuł „Pana całego świata“.

Poddani jego byli potulnym i głupim stadem, z którym mógł robić, co mu się żywnie podobało. Ale stado to było zbyt licznym, a całe państwo — zbyt obszernym pastwiskiem, by mu podołać mógł jedyny ostatni idjota. Tutaj pomógł mu pewien uczyony-pochlebca. Zaszczepił on kilkunastu gienjuszom mikroby idjotyzmu i ludzie ci, zmienieni w idjotów, stali się satrapami Pana całego świata.

Przekonał nas o tem bezprzykładny bestjalizm walczących ze sobą armji.

Wojna jest zawsze straszna, zawsze okrutna; ale istnieją też cnoty wojenne. Pleż np, pięknych momentów miała wojna anglo-burska. Nie mówię już o burach, którzy, broniąc dobrej sprawy, będąc stroną napastowaną a słabszą, z natury rzeczy mieli wiele sposobności do okazania szlachetnych, rycerskich instynktów. Nawet Anglicy, ślani do Afryki przez giełdę londyńską na rabunek cudzego mienia, Anglicy, którym owa żarłoczna, oszczędna, niecierpliwa giełda potajemnie kul „dum-dum“ dostarczała, starali się pamiętać o granicy, dzielącej żołnierza od rozbójnika. Albo tacy Japończycy! Któż z nas nie pamięta niezliczonych momentów pięknych w ich walce „napastniczej?“

Nic podobnego nie widzimy na Bałkanach. Po obu stronach szła tłuszcza wrzaskliwa, zawsze gotowa mordować przedewszystkiem bezbronnym, a wobec zwyciężonych posuwająca się do nieludzkich ekscesów. Nawet prasa, z urzędu apoteozująca „braci słowian“, nie potrafiła zanotować bodaj jednego rycerskiego, szlachetnego giestu. Nic, tylko rzeź i rzeź.

Z początku objaśniano to żywiołową nienawiścią odwiecznych gnębieli i gnębionych. Lecz, niestety, obraz nic nie zyskał i wówczas, gdy się wreszcie owi gnębieli sami za łby wzięli. To samo palenie wsi, wycinanie w pień ich ludności, to samo torturowanie jeńców, kaleczenie trupów, przy równoczesnym stałem oskarżaniu przeciwników o „większe“ bezceństwo.

Dla Europy był to nietylko wstrętny widok. To było coś więcej: kompromitacja jej politycznego sentymentalizmu, służącego — jak się rzekło — do bałamucenia mięsa dla armat.

Toć wszystkie mocarstwa do koncertu należące, od dawien dawna nie przestawały urabiać opinji publicznej na wypadek podziału

Zwolna liczba idjotów rosła i ziemia przybierała dawną swą szatę: znów było Zło i Dobro, Głupota i Wiedza, gienjusze i idjoci.

Starzec „ostatni idjota“ dawno umarł, a tron osierocony zajął syn jego. Syn ten — Idjota II-gi został skrytobójczo zabity przez siepaczków jednego z satrapów i dynastja zmieniła się. Panował potem Głupiec I-y.

Minęło stulecie.

Po dynastji Głupców przyszła kolej na dynastję Półgłówek. Potem znów zajęła tron dynastja Idjotów.

Za panowania Idjoty XIV-go wstawionego swem okrucieństwem, pewien mędrzec miał powiedzieć:

— Nic nowego pod słońcem. Czem się różni nasz XXIV-y wiek od poprzednich, naprzykład od XX-go? Wszak i tam i tu rządzi idjotyzm.

Jak głosi komentarz do tej niewiarogodnej anegdoty historycznej, mądra ta sentencja tak się podobała Idjocie XIV-mu, iż zaprosił mędrca do swego dworu i otaczał go czcią i opieką. Tak przynajmniej objaśnia się fakt, że odtąd opiekowanie się monarchów mędrcami i artystami zwało się nie mecenasostwem, lecz idjotyzmem.

spadku po „chorym człowieku“. Przewidując, że może nastąpić konieczność wysłania wojsk na Bałkany, każde państwo starało się wytworzyć ideologję ewentualnej interwencji. Malowano więc w jaknajciemniejszych barwach rządy tureckie, idealizując równocześnie chrześcijan, przez nie cieżonych, którym „może wypadnie pójść na pomoc“.

W ten sposób sugiestjonowany, przeciętny Europejczyk wyobrażał sobie siebie samego w położeniu nieszczęsnego macedończyka, systematycznie mordowanego przez dzikie hordy kurdów. Wrzał oburzeniem i łzawił się spólczuciem.

Aż tu raptem orjentuje się, że ów brat chrześcijanin—to taki sam kurd, choć mu nad głową nie świeci półksiężyc bisurmański. I oto pryska złudzenie. A takich pryskań dyplomacja nie lubi.

Choć mocarstwa dziś już — z małemi wyjątkami — utraciły nadzieję dziedziczenia czegokolwiek w Turcji europejskiej, nie na rękę jest im jednakże fakt tak jawnej kompromitacji sentymentalizmu politycznego. Masy mogą łąco przejrzeć na oczy i nie dowierzać w przyszłości żadnym idealnym celom wypraw wojennych.

A wiara naiwna w owe idealne cele to przecież czynnik, nieraz w polityce decydujący. Rządy dokładają też wszelkich starań, by możliwie głęboko zapuszczała ona korzenie. Przychodzi im to tem łatwiej, że zagraniczna polityka państwa koliduje rzadko z interesem mas, a niemal zawsze dogadza widokom warstw posiadających (nie wyłączając inteligencji, posiadającej conajmniej patenty szkolne). Nic więc dziwnego, że sfery te bardzo chętnie poddają się sugiestji i złudzeniom, a wierząc w humanitarne misje państwa—na obczyźnie, mogą już z czystym sumieniem występować w obronie najmaterjalniejszych korzyści.

Wobec tego, dość normalnem zjawiskiem jest np. p. Milukow, który tak mocno wziął do serca wzajemne oskarżenie serbów i bułgarów, że aż jedzie, sprawdzić osobiście: czy to możliwe, by bracia słowianie byli tak okrutnymi dzikusami?

P. Milukow ma za mało dowodów u siebie w domu, więc musi ich szukać na Bałkanach. Na tych Bałkanach, których część ojcowie jego krwią swoją z pod tureckiego jarzma oswobodzili.

Bo p. Milukow wierzy, że tu szło o oswobodzenie, a nie o żadne rachuby na korzyść własną. Nie, nie! broń Boże: to był tylko braterski sentyment; i jeśli Bułgarja chwilami o tem zapomina — niewdzięczna, po trzykroć niewdzięczna!

Skoro może być w polityce sentyment braterski, czemu nie ma istnieć też i wdzięczność? Gdy zaś życie nic sobie z tych nadziei nie robi i w polityce międzypaństwowej kroczy drogą najpospolitszego interesu—można sobie pozwolić nawet na gorszenie się.

Było już dość owego zgroszenia, gdy się bracia słowianie, sojusznicy niedawni, za czuby chwycili. Teraz jednak coraz nowe przybywają powody. Oto bracia serbowie bronią zagarniętym, wraz z częścią Macedonji, braciom bułgarom używać języka ojczystego.

— To niemożliwe! — woła z oburzeniem prasa rosyjska wszelkich odcieni, która dopiero teraz, aż na Bałkanach coś podobnego widzi. — Jakto? Bracia braciom? Okropność! Nie dziwimy się ostatecznie grekom, którzy czynią tak samo. Ale słowianie!...

Niemożliwość jednak okazuje się najzupełniej możliwa. Resztki więc złudzeń pryskają. Na żadne sentymenty nie pozostaje ani odrobiny miejsca. Wojna „oswobodzicielska“, „wyzwoleńcza“, czy jak ją tam jeszcze chrzczono, ujawnia właściwe swe oblicze: zwykłego politycznego przedsięwzięcia, obliczonego na pomnożenie terytorjum państwowego ku większej pełności jego skarbu.

Rozpaczliwe korespondencje, ślano do gazet rosyjskich przez bułgarów macedońskich, świadczą, iż ludność tamtejsza dostała się z deszczu pod rynnę, bo nowe granice zakreśliła nie słuszność, ale pięść.

Ze ludność łaknie sprawiedliwości—temu się nikt dziwić nie może. Dalecy też jesteśmy od chęci dworowania z tego. Ale że spotyka się nawet ludzi trzeźwych, rozgarniętych, którzy przy obecnym ustroju rachują na jakiegokolwiek sentymenty w polityce i wciąż wytkają dyplomatom do rąk busołą słuszności — to doprawdy zdumiewające.

Gdy dyplomata, polityk szuka frazesu, mamiącego rzesze, a wypisawszy go na swym sztandarze, popelnia gwałty i bezprawia dla celów rzekomo idealnych — rzecz naturalna. Człowiek ten gra komedję świadomie. Od tego jest. Że komedja owa ma najczęściej wśród tłumu powodzenie; że wierzy on w nadzwyczajne jakieś misje, gdy idzie poprostu mordować dla zysku nietylko własnego, ile zysku swych przywódców—to także zrozumiałe. Że prasa będąc na usługach wielkiego kapitału filuternie złudzenia pielęgnuje i patosem frazesów nieraz sama siebie uwodzi—i to również da się wytłumaczyć.

Pojać jednak trudno logikę dziennikarstwa takiego, jak np. polskie, gdy i to sentymentami w polityce samo siebie i czytelników swych bałamuci.

A przecież większość pism naszych oświeśla i oświeśla wypadki bałkańskie niemal tak samo, jak prasa francuska, angielska, a nawet rosyjska. Nawet rosyjska—powtarzam — która widziała tu naprzemian sojusze krwi i sojusze wiary (słowiańskiej—prawosławnej); która państwo zachęcała do interwencji w roli starszej siostrzycy, która frymarczyła ideałami wolności; która wreszcie darła szaty na widok krzywd przez braci braciom wyrządzonych—na Bałkanach.

To samo mieliśmy i mamy w pismach polskich. Czy i one aż wpobliżu Dardaneli szukać muszą dowodów, że w polityce niema ani brata, ani swata; że jest tylko interes i siła?

B. H.

Kto jest winowajcą?

Od kilku tygodni toczy się na łamach „Kurjera Litewskiego“ wymiana zdań w kwestji pracowników rolnych. Panowie ziemianie, między którymi są też ludzie życzliwi i wyrozumiale dla ludu usposobieni, stwierdzają jednogłośnie, że robotnik tutejszy jest zły. W lichocie jego widzą ważny—a niektórzy nawet główny—powód marnej wydajności ziemi i wogóle niskiego stanu gospodarki rolnej.

Choć—jak się rzekło — wśród głosów tych od-

zywają się też opinie ludzi, ogarniających szersze widnokreśli społeczne, dyskusja jest przecież jednostronna. Przemawiają tylko ziemianie, którzy z dworów spoglądają na chaty i zdania swe o tych ostatnich rozmaicie formułują.

Wiemy jednak, że stan rolnictwa, wartość gospodarki zależy nietylko od chat; czynnikiem daleko ważniejszym są właśnie owe dwory, które w obecnej dyskusji polegać mogą conajwyżej autokrytyce. Skoro wszakże *zzewnątrz* pochodzi krytyka siły roboczej, dla jednolitego oświetlenia sprawy należy dopuścić krytykę strony przeciwnej, również *zzewnątrz*.

W tej myśli właśnie zwróciłem się do rzeczoznawcy bezstronnego z Królestwa, wykształconego w politechnice Zuryskiej, który, poznawszy gospodarkę zachodnio-europejską (zwłaszcza na Śląsku), zarządza dziś u nas dobrami pewnego magnata.

Człowiek to więc najzupełniej kompetentny, znający nasze stosunki, a jednak na uboczu stojący.

— Czy pan czytuje — spytałem — artykuły „Kurjera“ w kwestji pracowników rolnych?

— Owszem.

— Jakiego pan jest zdania o robotniku tu-tejszym?

— Każdy robotnik może być dobry, jeśli się go umie użyć. Czy pana nie zastanawia fakt, iż parobcy, którzy u nas są do niczego, wybornie pracują na emigracji?

— Nieraz czytujemy, że dziwią się temu i ziemianie nasi. Widzą tu jakąś dziwną przewrotność chłopca, który swoim służy źle, a obcym dobrze.

— Opieranie wniosków na tak dowolnych hipotezach, jak jakieś specyficzne cechy duszy danego ludu—to fantazja tylko. Kierować się nią w życiu może tylko człowiek, nie przywykły do ścisłego myślenia. Zamiast szukać przyczyn w niezależnych od nas rzekomych wadach ludu, lepiej uświadomić sobie szereg innych, dających się stwierdzić okoliczności.

— A więc?

— Przedewszystkiem praca w gospodarstwach zagranicznych jest doskonale zorganizowana; nie ma tam żadnej przypadkowości, żadnego „Walek, rzuć to, biegnij tam“. Od rana każdy wie nietylko, co ma robić, ale też, co powinien do wieczora *zrobić*. Po drugie—nad robotą panuje stały, ściśle fachowy dozór. Dozór ten nie tylko po to istnieje, żeby napędzać do pracy leniwych, ale potę przedewszystkiem, by nieumiejącemu pokazać, jak daną robotę wykonywać. Dozorca — to najlepszy, najzdolniejszy robotnik, który nietylko straszy, ile imponuje i pobudza do emulacji. Po trzecie—ziemianin sam daje wszystkie narzędzia bacząc, by były w doskonałym stanie. U nas najemnik przynosi własną kosę, sierp, łopatę, widły, motykę etc. Narzędzia te są przeważnie marne i robotą, niemi wykonana, jest również marna. Nie może być inna. Pamiętać bowiem trzeba, że wydajność pracy w 99% zależy od dobroci narzędzia.

Najważniejszym jednak czynnikiem, obniżającym wartość robotnika, jest licha płaca. Człowiek nie poto robi, żeby robić, ale żeby *zarobić*. Pracownik, który wie, że tak, czy owak zawsze będzie niezupełnie syty (nie mówiąc już o innych perspektywach) wykonywa zadanie swe aby zbyć.

Zagranicą ogólnie już zaprowadzono w rolnictwie płacę akordową. Przy systemie tym robotnik zarabia dużo więcej niż u nas, a jednak jednostka pracy kosztuje właściciela mniej.

Niska płaca, a więc złe odżywianie, brak celowego dozoru, organizacji, podłe narzędzia—to są tylko czynniki materialne. Do nich należy jeszcze dodać warunki higieniczne. Za granicą nie znam folwarku, któregooby przynajmniej raz na tydzień nie odwiedził lekarz. Nie chodzi tu o jakiś sentyment ze strony właściciela majątku. Tego wymaga prawo i — interes właściciela. Często robotnik pracuje źle, bo jest chory, choć wcale o tem nie wie, nie zdaje sobie sprawy. U nas człowieka takiego spotykają połajanki, tam — natychmiastowa pomoc. Toć przecież w naszym kraju nieraz całymi tygodniami grasuje tyfus plamisty i nikt na to uwagi nie zwraca, nikt się nie zatroszczy.

Słowem całokształt stosunków jest zupełnie inny. Zagranicą robotnik nasz spotyka się z traktowaniem surowem. Uważają go napały jako dziecko, napały jako dzikusa. Zwymyślają od ostatnich, czasem i namacalniej przemówią. Ale jednocześnie ten człowiek widzi, że jest kółkiem w maszynie, która funkcjonuje, jak tutaj mówią, z *tolkiem*, z sensem, że tempa ruchu owej maszyny nie wolno mu opóźniać i tego tempa w razie potrzeby uczą go. Skoro zaś już się w nie wdruży, zaczyna być traktowany w sposób, do którego nie przywykł. Żadnych śladów niewolnictwa, poddaństwa. Przeciwnie — na każdym kroku podniecanie ambicji. Człowiek ten teraz dopiero orientuje się, że jest naprawdę wolny. Za szczególniejszą zręczność i pilność otrzymuje premją, które nietylko przynoszą mu korzyść, ale wyróżniają wśród towarzyszy pracy, czynią bohaterem, czemś lepszym. Po każdym cyklu robót urządza się bal, na którym królują najdzielniejsi robotnicy.

Wogóle atmosfera jest zupełnie inna, niż u nas. Krótko mówiąc, istnieje tam organiczne połączenie pracy wykonawczej z pracą kierowniczą.

U nas tego niema.

— Dlaczego?

— Dlatego, że niezdarna jest najczęściej owa praca kierownicza. W porównaniu ze stosunkami zagranicznymi, jest ona zupełnie taką samą fuszerką, jaka praca fizyczna robotnika. Rolników wykształconych na palcach można policzyć. Ziemianie bogaci—to w ogromnej większości sportowcy i kiepscy filantropowie, goszczący tylko od czasu do czasu w swych majątkach. Właściciele średniej zamożności — to, że tak powiem, najczęściej śpiochy, nie mający wyobrażenia o systematycznej pracy, a przytem pozbawieni potrzeb kulturalnych. Pleśń obrasta ich walące się płoty, chwasty zagłuszają ogrody i tak też całe życie domowe płynie. Ludzie ci nie znają estetyki; znają tylko szyk na pokaz. Czystość panuje jeno w salonie, gdzie goście przyjmują; pozatem niechlujstwo.

I właśnie to niechlujstwo, ten brak ładu — oto zniemienny, typowy rys przeciętnej tutejszej gospodarki. W tych warunkach o pracowniku powiedzieć można starem przysłowiem: jaki pan, taki kram.

— Surowo pan odnosi się do ziemian naszych. A przecież ziemianie — polacy...

— Wiem, co pan chcesz powiedzieć—przerwał mój interlokutor—lepsi są od przybyszów ze wschodu. O tych nie mówię. Ci—z nader nielicznymi wyjątkami—to wcale nie gospodarze, to prosto dewastacja. Lecz dlaczego porównywać się mamy z gorszymi? Porównajmy się z tymi, co przodują. Nam trzeba szkoły niemieckiej. Tak, panie. Trzeba się do tego przyznać.

Pracowałem w Niemczech u magnata. Miał miljonową fortunę. Ten człowiek był dzień w dzień w kancelarji zarządu majątków i zupełnie tak pracował, jak fabrykant. Po handlowemu.

U nas przede wszystkim brak wykształcenia handlowego i handlowych metod pracy. Do gospodarki biorą się ludzie, nie mający nie tylko wykształcenia zawodowego, agronomicznego (do tego można mieć najmitę) ale i odpowiedniego kapitału. Brak kapitałów obrotowych to jedna z przyczyn nędznego stanu rolnictwa.

— Czyż na zachodzie wszyscy ziemianie mają wolny kapitał obrotowy?

— Nie, nie wszyscy. Ale tam istnieje tani i łatwy kredyt, którego u nas niema.

— Więc ostatecznie niech mi pan odpowie, kto winien jest naszym opłakanym stosunkom: właściciel, czy pracownik rolny.

— W zestawieniu z Europą, wart Pałac, a pałac Paca. Lecz o winie jakiegokolwiek wcale tu się mówić nie powinno. Winien jest ogólny stan kultury i brak czynnika, gdzieindziej popierającego jej postęp.

— Cóż jest tym czynnikiem?

— No, chyba łatwo się pan tego domyśli!

J. S.

Wytarte hasło.

Świetny artykuł pod powyższym tytułem zamieściła w „Tygodniku Polskim“ utalentowana poetka i publicystka p. Jadwiga Marciniowska. Z upoważnienia autorki przedrukujemy go w całości, myśl bowiem przewodnią tego artykułu wydaje się nam wysoce słuszną, zwłaszcza w zastosowaniu do społeczeństwa polskiego w naszym kraju.

Czasami drobny fakt uwydatnia jaskrawo głębię długoletniego bałamuctwa i szkodliwości zdawkowych haseł, którymi się pokrywa zastój w życiu. Drobne, powszednie fakty budują się na tem, co jak pewnik, — w tym wypadku, o, jak kłamliwy! — wsączyło się w społeczeństwo, dostosowało do poziomu jego woli.

Przed paru tygodniami jedno z pism popularnych, wydawanych w Warszawie, przyjmując nową nazwę i z tego powodu rozsyłając swój prospekt programowy, ze szczególnym i pracowitym patosem wygłaszało w kilku odmianach to hasło: „trwać, trwać! wytrwać! wytrwamy!“.

Nie chodzi o to pismo; redaktorzy odezwy sięgnęli po szablon, który się podoba, a którego mieli pełno pod ręką. Chodzi o samą rzecz. Oddawna obalamy się pobożnym kłamstwem... o trwaniu. Zapomnieliśmy, iż według praw zarówno przyrody, jak i ludzkich dziejów, zjawiska takiego, jak trwanie w tem samym stadium—niema. Każda chwila z ko-

nieczności musi być zmianą — w kierunku postępu lub upadku. Żaden moment nie daje się utożsamiać z poprzednim, każdy przynosi wymagania swe — nowe.

Jakże pustem wobec rzeczywistości, a przez to jak bardzo tragicznym jest nasze hasło: „stać! wytrwać!“. Zadzają mu kłam najpobieżniejsze obserwacje z zakresu przyrody, a przy cokolwiek bliższym wejrzeniu fałszywymi okazują się analogie, czerpane z osobistych, wewnętrznych spraw człowieka.

Mówi się pospolicie o kimś, co sobie poradził w ciężkich przejściach i trudnościach życiowych, że „wytrwał“. Omyłka! Nigdy „trwanie“ nie zwyciężyło przeciwności. Wszędy, gdzie jest zwycięstwo, musiał być czynnik inny: *twórczość*. Nawet w najsurowszych i najbardziej oderwanych wypadkach, w całym osobistych zawikłaniach, czy cierpieniach, każda chwila ku wybrnięciu jest nie trwaniem, ale krokiem naprzód, *tworzeniem* w sobie coraz to nowych i coraz silniejszych środków do walki. *Wytrwalność* tu ma ogromne znaczenie, lecz nie w *znoszeniu*, jeno właśnie w *twórczości*. Ciągłe i nieustannie *tworzyć*, to jest zadaniem życia. Człowiek, który nie wydobywa z siebie ciągłej twórczości, upada.

O ile bardziej i o ile szlachetniej—naród.

Oddawna oklamujemy siebie.. Niczem sobie naród tak mocno nie szkodzi, jak bałamuceniem i usypianiem swej świadomości przez hasła puste. W hasłach wypowiada się miara tego, do czego się dane społeczeństwo czuje zobowiązaniem, więc jeśli to tylko frazes—i obowiązek opada do skali frazesu.

Uspakajamy się tem pustym brzemieniem o trwaniu. A światło faktów okazuje, że gdy tak rzekomo trwamy w rzeczywistości tracimy grunt pod nogami cał za całem. Kurczymy się... Czy ktoś, komu nieubłaganie usuwają z pod nóg podstawę, może się zabezpieczyć trwaniem? Na czem-że wreszcie „trwać“ będzie?

Lepiej jest narodowi nie mieć żadnych haseł i znaków na sztandarze, niżli posiadać nieodpowiadające prawdzie rzeczy. Zdawkowe, więc fałszywe, hypnotyzują i rozgrzeszają.

Hasło: *tworzyć* jest nieubłaganie jasne, a przez to tak pożyteczne. Niemasz tu żadnej „furtki“, żadnego sposobu obniżenia i zmiękczenia wielkiego nakazu. Kategorycznie brzmi wymaganie ciągłego zdobywania wartości życiowych, bezwzględnie wymaga się całej skali wysiłku.

A w przeciwieństwie do tego, to nasze ulubione, „trwamy“ jest czemś nadzwyczaj elastycznym, tak elastycznym, że pokryć może wszystkie odcienie—od połowiczności do odstępstwa, bo i ten, co odstępkuje, jeszcze się tak często zasłania frazesem, że i on przy czemś „trwa“, że on w imię czegoś...

Mozolnym ale radosnym jest twórczy trud, beznadziejnie smutnym tak zwane „trwanie“. A co najważniejsze, krzewi ono obłudę.

Gdyby synów Polski mierzono skalą ich twórczego dla niej wysiłku, miałyby ich mniej, lecz — prawdziwych.

Niejednokrotnie pojęcie wszelkie przechodzi, czego się to u nas nie pokrywa wytartym frazesem patriotycznym. Wzywa się imienia rzeczy świętej nie tylko „nadaremnie“, ale często w złej wierze. Widocznie odczuwamy potrzebę sankcji dla różnych czynów i zjawisk, ale też udzielamy jej skwapliwie, bez wyboru, na wszystkie strony. Jakże często interes czysto osobisty, nie mając odwagi do uczciwego przyznania się, czem jest, mizdzy się maską miłości

i „poświęcenia“ dla kraju. Istnieje w społeczeństwie głuche poczucie, iż każda sprawa osobista powinna służyć sprawie ogółu, ale ponieważ się do tego nie przykłada sprawdzianu twórczego wysiłku, panoszy się nazwa, gdzie niema rzeczy, krzewi się łatwo obłuda.

Odzewem pustych haseł są określenia kłamliwe. Np. jak się gęsto szafuje nazwą „dobrego polaka“. Wytarła się do tego stopnia, iż niejednokrotnie przysługuje absolutnemu niedołęstwu, zupełnej bierności. Kto nie popełni rażących przeciwko obowiązkowi narodowemu grzechów, ten się już cieszy w opinii honorem „dobrego polaka“, a czasami w dodatku zasłużonego obywatela! Wytwarza się wprost negatywne pojęcie rzeczy: „dobrym polakiem jest ten, kto polskości—nie szkodzi“.

Różne są stopnie świadomości w naszej obłudzie. Często bywa to istotnie ledwo wiedzące o sobie, przemieszane z „dobrą wiarą“ wyrosłe na tle zakorzenionego lenistwa. Ta najślabsza odmiana jest najszkodliwszą...

Ona to sprawia, że gdy spada cios, od którego powinny się we wściekłym poczuciu obelgi wstrząsnąć i przetworzyć cała nasza istota, wzdychamy, ocierając łezkę i uspakajamy się frazesem o trwaniu...

Ona to pozwala wielu z pomiędzy nas nie przekraczać pewnego minimum nic nie kosztującej—życzliwości dla rodzinnego kraju... i nie razi bynajmniej oczu ogółu.

Dla każdego, kto kocha życie, ten komunał o trwaniu stać się powinien szczególnie nienawistnym i wstrętnym. Bo jest pokrywką wygodną gwoli rzeczom, bojącym się sprawdzenia i jest trucizną; zatrąwa psychikę narodu.

Gdybyśmy byli tak przeniknięci potrzebą *twórczości*, jak jesteśmy tym komunałem usypiającym, świadomi, inaczej by wyglądałyby fakty...

Wszystkie dziedziny życia polskiego wołają o twórczość, przedstawiają się jako tworzywo, z którego trzeba wykuć moc. Każdy w społeczeństwie jest powołanym do tego, by miał tę najwyższą roskosz twórczenia.

Prawdziwą obroną posterunków zagrożonych może być tylko wszechstronna, ciągła twórczość. Ale życie nie poprzestaje na obronie, jest większem. Rozpręża się. Wysiłek twórczy rodzi moc, która się znowu staje sposobem do jeszcze wyższego wyteżenia...

Inaczej wyglądałyby fakty.

Czyż takim np. krokiem postępowałyby ta najważniejsza sprawa demokratyzacji Polski. gdyby ogół nasz był przepojony twórczą potrzebą wydobywania z siebie sił? Powolna ewolucja, uskuteczniata przez nierównomierne napieranie mas, utrudniona zawaleniem drogi przez przeżytki, zyskałaby godność czynu świadomego.

Przykładów jest mnóstwo, znajdują się w każdej dziedzinie.

Zupełnie inaczej zapatruje się na każde zjawisko ten, kto się pociesza, że pomimo wszystko, jakoby „trwa“, a ten, kto chce tworzyć...

Powinniśmy się stać fanatykami twórczości...

Jadwiga Marciniowska.

O kształceniu politycznym „Obywatela“.

(Dokończenie).

Uwagi powyższe dotyczą również naszej książkowej literatury publicystycznej. W ostatnich latach, chwalić Boga, i u nas zaczyna się rodzić publicystyka książkowa, jakiej od lat kilkudziesięciu nie było wcale. Nieraz autorzy tych książek, ludzie poważni i odpowiedzialni, powołują się na przykład Zachodu, ilustrują swoje orientacje myślowe przy pomocy przykładów, czerpanych z życia, odpowiadających domniemaniu ich wierzeniom politycznym stronnictw Zachodnio-europejskich. Mówimy domniemanie, albowiem przeważnie autorzy polscy, żyjąc zdala od życia politycznego Zachodu, znając to życie z przygodnych wypraw turystycznych, z przesiadywaniem w kawiarenkach w towarzystwie podobnych im turystów polskich, niedokładnie zgola zdają sobie sprawę z rzeczywistej budowy stronnictwa, z jego składu, z jego interesów, z logiki jego postępowania, jako takiego. Polski radykał szuka spółbraci, kommilitonów wśród radykałów francuskich, opierając swoją sympatię przyrodzoną na papierowym programie i agitacji wyborczej, w imię tego programu prowadzonej. Wspólnym atoli hasłem i programom nie odpowiadają zgola wspólne interesy, (polski radykał jest na tyle szczęśliwy że tych dotychczas przeważnie nie posiada). Gdyby poznał bliżej ową pstrą gromadę, objętą ogólnem mianem radykalizmu francuskiego i porównywał z tym wrażeniem sądy, które na jej temat wypowiadał—zdziwił by się niepomiernie i rozczarował. Nie rozczaruje się, gdyż nie pozna, nie zada sobie trudu ciężkiego i niewdzięcznego, aby poznać. Woli przebywać w niebiosach zadrukowanego papieru. Niechaj się nie dziwi, że jego poglądy na życie francuskie są nieżywe i papierowe.

Wszędzie dzisiaj na świecie ludzie bogaci, rady miejskie i państwa, fundują stypendja, przeznaczone dla młodych doktorów uniwersyteckich, wysyłanych tu i owdzie do wielkich środowisk życia społecznego na przeciąg miesięcy i lat, w celu poznania złożonego życia politycznego i gospodarczego. *Boursiers* paryscy jeżdżą do Niemiec i do Austrii, do Petersburga i do Washingtonu, do Londynu i do Melburnu, zaopatrzeni w dostatnie środki, w rekomendacje towarzyskie i polityczne, korzystają z opieki agentów dyplomatycznych, korzystają ze stu możliwości poznania życia w parlamencie, fabryce, na roli, w organizacjach robotniczych i w salonie, na ulicy i na wiecach politycznych. Z tych podróży rodzą się niekiedy piękne książki, z tych stypendystów powstają niekiedy znakomici korespondenci. Gdyby też i u nas pomysłano o stypendjach nietylko dla wędrujących rzemieślników, ale także dla wędrujących polityków, dla młodych publicystów, którzy posiadając wykształcenie uniwersyteckie i pragnąc poświęcić się trudnemu i pożytecznemu zawodowi publicystycznemu, chcieliby przez dłuższy pobyt zagranicą *poznać* życie europejskie, zdobyć kryterja porównawcze dla oceny własnych na rzeczy polityczne poglądów, uzasadnić i umocnić i na szerokiej podstawie utrwalić własne poglądy na życie i rozwój własnego narodu.

Powołanie do życia takiej fundacji nie byłoby rzeczą łatwą i to nietylko ze względu na zna-

czny w tym celu potrzebny fundusz. Jak taką fundację zorganizować? Ktoby stypendystów mianował? Wchodziłyby tu w grę oczywiście i poglądy polityczne zarówno mianujących jak i mianowanych. Każde wielkie stronnictwo mianowałoby pewnie swoich. Ale są i u nas przecie instytucje neutralne, które powodowały by się w tych nominacjach względami nie politycznymi, tylko pożytek sprawy mając na względzie.

Aczkolwiek nie powtarzaliśmy na ostatnich szpaltach wciąż wyrazów „obywatel“, „kształcenie obywatela“, to jednak wciąż o tem tylko mówiliśmy i mówimy. To jedno zajmuje nas na przestrzeni całego tego artykułu. Zanim go zamknijemy, powróćmy na chwilę jeszcze na drogi zachodnio-europejskie. Inaczej tam kształcą „obywateli“. Obywatel poznaje tam już w szkole ludowej zasady *deklaracji praw człowieka i obywatela*. W krajach powszechnego prawa wyborczego poznaje politykę od lat najmłodszych: poznaje ją w domu rodzicielskim, na ulicy, na mityngu, z dziennika. Od lat młodzieńczych należy do organizacji, tej czy innej. Walczą o jego głos spółzawodniczące stronnictwa, starają się głos ten zrobić przy pomocy złożonego aparatu środków pedagogicznych. Oddziałują stale i wytrwale w jednym kierunku, urabiając umysł, uczucie, wolę. Wprowadzają do umysłu cały szereg pojęć prawnych i politycznych. Kształcenie to w duchu obywatelskim jest nietylko pod względem *ilościowym* nader wielkie. Dość przeczytać sprawozdanie roczne wydziału oświatowego jednego stronnictwa ludowego niemieckiego, partji socjalistycznej, ażeby się przekonać, jak wielkie praca ta pochłania ilości czasu, energii, środków. Czego tu niemal! Mówcy wędrowni, nauczyciele wędrowni, szkoły partyjne, czasopisma, dzienniki, broszury, książki, wiece, dyskusje klubowe; wszystkie gromadzone w wielkim stylu w ilościach olbrzymich, jakościowo nie najgorzej, często wcale poważnie i bardzo umiejętnie, z dużą znajomością rzeczy i psychologii ludzkiej. Tu praca oświatowa ogarnia wszystkie warstwy, każdy wiek i rodzaj ludzki — młodzież, dojrzałych robotników, kobiety. Skierowana jest do wszystkich warstw wielkiego organizmu, liczącego prawie koło miliona żywych komórek ludzkich, poruszającego się w olbrzymiej atmosferze czterech milionów głosów wyborczych! Nie wszystkie stronnictwa z równą siłą i równem powodzeniem szerzą oświatę polityczną. Każde jednak coś czyni w tym kierunku, środków nie szczędzi, zabiega, drukuje, agituje.

Jakże obfita jest literatura polityczna *aktualna* angielska, niemiecka, francuska. Każde zagadnienie polityczne wywołuje oddźwięk wielokrotnie powtarzany w literaturze drukowanej. Sprawy tureckie, sprawy bałkańskie, sprawy perskie, stosunek Francji i Niemiec, stosunek Niemiec i Anglii, sprawy trójprzymierza i trójporozumienia posiadają z roku na rok rosnący arsenał książek i broszur, w których bogactwie trudno niekiedy zorjentować się. W ostatnich czasach, jak wiadomo, sprawa antagonizmu Francji i Niemiec weszła znowu na porządek dzienny literatury politycznej i z różnych obozów, z różnych stron sypią się broszury i wcale pokaźne dzieła naukowe, mające na celu rozwiązanie kwestji, czy złagodzenie antagonizmu. Dużo w tej literaturze jest plew, nawianych wiatrem taniego szowinizmu, ale są i pra-

ce bardzo poważne, z których niektóre pozostaną na długo, jako źródła prawdziwych informacji politycznych. Tu należą prace George Goyau o katolicyzmie niemieckim, Paul Matter'a trzytomowa biografia Bismarka, książka Moysset o duchu publicznym w Niemczech, prace redaktora *Revue de deux Mondes*, René Pinon i Pierre Albin! Niedawno „Figaro“ delegował korespondenta swego George Bourdou'a do Niemiec w celu dokonania na miejscu ankiety w przedmiocie stosunków francusko-niemieckich, naprawy tych stosunków i możliwości tej naprawy. Korespondent obszedł najwybitniejsze osobistości reprezentatywne Niemiec społecznych, umiał umiejętnie pytać i z odpowiedzi, które otrzymał, zeszył wcale pokaźną i ciekawą książkę pod tytułem *L'énigme Allemande. Une enquête chez les Allemands. Ce qu'ils pensent, ce qu'ils veulent, ce qu'ils peuvent*. Zebrano tutaj głosy wszystkich stronnictw i klas, poczynając od sekretarza stanu Kinderlen-Wächtera, księcia Lichnowsky, obecnie ambasadora w Londynie, profesorowie: Liszt, Schmoller, Wagner, Lamprécht, Hermann Luder-mann. Maxymiljan Harden, wielu wielu innych.

Ich poglądy obchodzą nas w tej chwili mniej, niż powstanie książki, dodajmy więc tylko, że wszyscy ci autorzy wypowiadają przekonanie o konieczności pokoju pomiędzy Francją i Niemcami w interesie świata i o tem, że naród niemiecki niczego więcej nie pożąda, jak tylko pokoju w stosunku do Francji. I naród francuski przecie niczego nie pragnie, jak tylko pokoju. Gdy tedy wszyscy niczego nie chcą, jak tylko pokoju, utalentowany dziennikarz mówi o zagadce niemieckiej, zagadką bowiem, wobec tego usposobienia pokojowego, jest nieulegający wątpliwości fakt wzrastania nieustannego zbrojeń niemieckich. Znajduje i rozwiązanie tej zagadki. Nie będzie pokoju, póki nie będzie rozwiązana kwestja Alzacji i Lotaryngji, z powodu zaboru której od lat czterdziestu wzruszony pokój europejski nie może odzyskać utraconej równowagi. „Nie ulega wątpliwości, że zagadnienie to, zmieniło nieco swój charakter w ostatnich czasach, ale tem samem nie przestało być groźnem, stało się, być może, nawet groźniejszym jeszcze. Mylą się Niemcy przypuszczając, że francuzi pozostali wierni nadziei odwetu. Odwet, była to pierwsza, bezpośrednia forma bólu zwyciężonych, wyraz brutalny gniewu poranionych atletów; idea ta nie żyje więcej w sercach pokoleń współczesnych. Poza zastępem żyjących jeszcze weteranów i podnieconych nacjonalistów, niema we Francji ani jednego rozumnego człowieka, który świadomie z jakiegokolwiek bądź tytułu pragnie wojny. Apostołowie odwetu liczyli stracone kilometry kwadratowe, wodząc oczyma po ziemi; dzisiaj oczy patrzą wyżej, na drogi sumienia i moralności. Ludzie naszych czasów nie mówią więcej o odwecie, mówią o sprawiedliwości; nie odwołują się do gwałtu, odwołują się do prawa. Dopóki Alzacja-Lotaryngja będzie tak źle traktowana przez Niemcy, dopóty Francja nie przestanie troszczyć się o los tych krajów i płakać nad niemi. Jeżeli Niemcy pragną pokoju z Francją, nie powinni dręczyć Alzacji—Lotaryngji. Zagadka pokoju francusko-niemieckiego tkwi w duszy alzackiej. Póki ta wołać będzie, jakże można przypuścić, ażeby Francja przed tym krzykiem zatykała sobie uszy. A jeżeli Alzacja domaga się tylko prawa, czemuż Niemcy jej tego prawa nie użyczą?“

Gdy mówimy tutaj o Alzacji — Lotaryngji, wspomnijmy ze względu na osobę autora o bardzo ciekawej książce znanego anti-militarysty francuskiego, tylokrotnie skazywanego na więzienia przez sądy francuskie, Gustawa Hervé. Hervé w ostatnich czasach poddał dawniejsze poglądy swoje poważnej rewizji i, jak twierdzą niektórzy, zupełnie je zmienił. W każdym bądź razie lat temu pięć jeszcze nikt by nie przypuścił, że Hervé może w przedmiocie Alzacji—Lotaryngji wypowiadać takie rozsądne i patryjotyczne poglądy. On, który na międzynarodowych zjazdach socjalistycznych zwywał niedawno jeszcze (w Stutgardzie 1907 roku) proletarjat Francji i Niemiec, aby na wypadek ogłoszenia wojny przez rządy obu krajów, proletarjat ten, zamiast pójść na wojnę tu i tam jednocześnie wywołał rewolucję socjalną (pomysły Hervé'go nie miały na tym zjeździe najmniejszego powodzenia, były nietylko przegłosowane, ale i wyśmiane), uważa teraz, że do pokoju pomiędzy Francją a Niemcami dojść trzeba inną drogą. Prowadzi do tego celu — *pacyfikacja Alzacji—Lotaryngji*. Nie ta oczywiście pacyfikacja, którą rząd niemiecki stosuje od lat czterdziestu, bądź zwalniając, bądź naciskając obręcz ucisku, którym wiąże nieszczęsne ziemie od kultury francuskiej oderwane, jeno nowa zgoła forma tej pacyfikacji: Alzacja — Lotaryngja, jako autonomiczne republikańskie państwo związkowe, należące do Rzeszy niemieckiej. Przyjmuje nawet pod uwagę możliwość przywrócenia panowania francuskiego w Alzacji. W takim razie gotów jest oddać Niemcom możliwie wielkie obszary kolonjalne, z wyłączeniem Północnej Afryki. Hervé jest francuzem, nie wątpi przeto, że ta druga kombinacja jest zgoła utopijna. Pierwsza odpowiada zamierzeniom i całej działalności polityków alzackich.

Tyle *de actualibus*. Na zakończenie niechaj znajdzie tu sobie wzmiankę poważne, cenne w pomysle, często udatne w wykonaniu wielkie dzieło niemieckie, *Handbuch der Politik*, ukończone w roku bieżącym, bardzo szeroko pomyślane przez bardzo czynnego na polu filozofji prawa i państwa, (wydawcy *Archiv für Rechts und Wirtschaftsphilosophie*), Fritz'a Berolzheimer'a, w dwóch wielkich tomach, obejmujące całkowity zakres kwestji i kwestyjek, związanych z pojęciem życia politycznego i gospodarczego w państwie i społeczeństwie. Złożyło się na to dzieło kilkudziesięciu uczonych niemieckich, wedle bardzo różniczkowanego programu i choć urzędowe poglądy tych profesorów niemieckich na sprawę życia politycznego mogą nieraz razić nas swoją jednostronnością i wyłącznością germańską, to jednak próba stworzenia takiej encyklopedji politycznej, dającej odpowiedź na liczne i ważne kwestje społecznego życia politycznego, oddać może przystęgi niezliczone, wagi pierwszorzędnej publicystom wszystkich krajów, uczonym, działaczom społecznym, a także „obywatelom“. W połączeniu z dawniej powołanemi do życia wydawnictwami encyklopedycznymi, objaśnieniami *zjawisk gospodarczych* poświęconemi, *Handwörterbuch der Staatswissenschaften* (7 tomów, 3 wydania) i *Wörterbuch der Volkswirtschaft* (2 tomy), daje ta *Encyklopedja Polityczna* najpełniejszy w chwili obecnej obraz życia i myśli politycznych świata cywilizowanego.

Słowem: *zabiegajmy koło wykształcenia politycznego „obywateli!“*

Stanisław Posner.

Miecz Olbrzyma

Bratu memu, Eugeniuśzowi.

*W przekornej męce rzeźbię białą trumnę;
jej modrzewiowe wieko stroję w śmiertelniki —
W trumnie zamknąłem wszystkie myśli tłumne,
wszystkie spiżowe dawnych lat pewniki — — —*

*Gdy skończę pracę, wyjdę w step szeroki; —
tam, gdzie widnokrag zacieśniają siny
chmury — i dziejów wyrocnie lawiny
spadają groźnie, hucznie, jak potoki — — —*

*Do matki—ziemi przytulę swe łono...
... (na barkach swoich ziemia niebo trzyma!..)
...Gdy krwawą luną krańce niebios spleoną,
do ręki porwę ciężki miecz Olbrzyma — — —*

Bolesław Zahorski.

O teatrze.

— Więc głównie chodzi panu o repertuar?
— Oczywiście. Teatr jest. Jakim jest—musi się z nim pogodzić. W tydzień ani miesiąc nikt go przerobić nie zdoła. Stratna tu jest, poza publicznością, przedewszystkiem dyrekcja, gdyż stale sto pięćdziesiąt przeszło miejsc galerji, zajmowanych przez „szerokie masy“ świeci pustkami. Zaradziłoby tu można jedynie, obniżając wysokie ceny miejsc galerji, prócz pierwszego rzędu, do 15 kop., nazwawszy je poprostu „stojącemi“ ponieważ faktycznie są to miejsca, z których tylko stojąc widzi się scenę. Za 15 kop. warto i postać parę godzin—korzystając z siedzenia w antraktach.

— No a co do repertuaru?

— Jak pan sądzi? Jaka sfera stanowi przedewszystkiem publiczność teatralną w Wilnie?

— No... chyba inteligencja...

— Niezupełnie, ale prawie. Z nią więc przedewszystkiem liczyć się trzeba. Czyż repertuar obecny odpowiada gustom i wymaganiom przeciętnego inteligenta? Stanowczo nie. Jest to przeraźliwy miche-mache rzeczy znakomitych i tandety, starzyzny i nowości, rzeczy głębokich i bez treści, rzucanych bez planu zupełnie, przypadkowo na deski sceniczne.

— Ależ panie! Wszakże dyrekcja wzoruje się całkowicie na repertuarze teatrów warszawskich. Niech pan uważa: Topiel—Berg op Zoom—Szalawła—Myszy bez kota—Mój najdostojniejszy przodek—Dożywocie—Jeniec Napoleona, toż to wszystko sztuki grane w ubiegłym lub przedostatnim sezonie w Warszawie!

— Właśnie. I to jest złe. Warszawa ma, proszę pana, publiczność wszystkich absolutnie sfer—musi więc grać wszystko, dodajmy w siedmiu czy ośmiu teatrach, bo to jest ważne. Tam przeciętny słuchacz wie dokąd pójść, aby gusta swe i potrzeby zadowolić i ma w czem wybierać. Wilno ma

teatr jeden i dwa (jeśli nie więcej) odłamy publiczności...

— Bardzo pięknie, jednak wśród jednej i tej samej publiczności znajdzie pan tyleż prawie gustów i upodobań, ile osób jest w teatrze. Więc jakże tu wszystkim dogodzić? Pamiętam bawiłem się świetnie na „Zdobyciu Berg-op-zoomu“, podziwiając dowcipny, pełen finezji dialog Orlińskiego z panią Bończą, pełną humoru grę Orłowskiego (który doskonały w farsie, powinien stanowczo zrezygnować z ról kochanków serjo) oraz całą tę misterną, błyskotliwą a daleką od pornografii robotę francuskiego pióra. Zadowolenie moje podzielało bardzo wiele osób. Tymczasem na premierze „Myszy bez kota“, ramocie doskonałej na niedzielne popołudniówki, słyszę rozmowę sąsiadek z 6-go rzędu: „O, to się nazywa komedia, nie to co ów Berg-op-zoom, bez żadnego sensu!“ No, powiedz pan sam, jak tu wszystkim dogodzić?

— Otóż to właśnie, drogi panie. Układem repertuaru kierować powinna jakaś myśl przewodnia, której tu nie widzę. Teatr jest jeden a zadowolnić musi wszystkich. Jest jednak siedem dni w tygodniu. Cóż łatwiejszego, jak przyzwyczaić publiczność do tego, że jedynie w niedzielę po południu usłyszy niewybredne „Myszy bez kota“, ciężkiego jak cała artylerja „Towarzysza pancernego“, bepretensjonalnego, lecz zato pięcioaktowego (co dla wielu jest plusem), „Szaławilę“, wzruszającą zawsze „Obronę Częstochowy“ czy „Kmicica“; że w ciągu tygodnia dwa-trzy oznaczone dni dają widowiska również tanie, lecz o charakterze dydaktycznym, zapoznając niewyrobioną publiczność oraz młodzież z Fredrą, Korzeniowskim, Szekspirem; że pozostałe wieczory rezerwuje dla inteligencji dając naprzemian sztuki poważnego lub lekkiego repertuaru, swojskiego i obcego, lecz już rzeczy bezwarunkowo wysokiej wartości pod względem literackim, scenicznym i artystycznym? Mając tak podzielony tydzień teatralny, sądzę, że dyrekcja nie miałaby powodu utyskiwać na pustkę wiejącą z widowni, bo widz wiedziałby, czego się ma trzymać i za każdym razem innego rodzaju publiczność zapełniałaby teatr.

Dużo się mówi o publiczności wileńskiej, mówi się przeważnie źle — a jest to poprostu nieporozumienie. Ten kto szuka w teatrze poruszeń głębszych pokładów duszy jednostki czy społecznej — nie pójdzie śmiać się na „Myszy bez kota“ i vice versa. Kto przekłada sztuki swojskie czy patryjotyczne — będzie wzruszał ramionami na „Berg-op-zoomie“. Bowiem wyjątkowe są rzeczy zdolne porwać cały tłum różnorodny, od najniższych szczebli po szczyty, bo Mickiewicz i Wyspiański nie codziennie się rodzą.

— Łatwo być sędzią, panie, i łatwo dawać przepisy na sposoby kierowania teatrem z za biurka. Lecz niechno pan zostanie dyrektorem teatru...

— Ja to wiem. A dlaczego to mówię? Bo kocham teatr, bo czuję i wierzę, że teatr nie powinien wegietować, lecz żyć pełną pierśią i dawać życie tym, którzy chcą czerpać u jego źródła, i być dla każdego nie deserem po obiedzie, lecz tem, czem dla życia jest chleb i woda.

— Ale i w to pan wierzy, że na razie to utopia?

— Może. Ale tylko na razie. Wie pan? Z małych cegiełek powstają gmachy, góry z ziarenek piasku. A tworzy to wszystko — czas.

— Więc czekajmy.

— A właśnie nie czekajmy. Źle jest czy dobrze — bywajmy w teatrze choćby... siedem razy w tygodniu!

Dzięki temu, że „Lilje“ Morstina należą w sezonach ostatnich do dobrego tonu — poznaliśmy „Lilje“. Dzięki temu, że właśnie w ubiegłą niedzielę przypadła piąta rocznica zgonu Wyspiańskiego — mieliśmy wznowienie „Zgonu Barbary“ i „Warszawianki. Słowem — przypadek.

I tu właśnie, na obronę publiczności wileńskiej, jako dowód, jak wrażliwą jest na prawdziwe piękno, jak ją mocny talent i potęga słowa porywa — konstatuję fakt: „Warszawiankę“ grano w Wilnie poraz, o ile się nie mylę, dwudziesty szósty i teatr był pełny, a wzruszenie malowało się na wszystkich twarzach.

Na pochwałę dyrekcji dodać należy, że tak „Warszawiankę“ jak „Zgon Barbary“ wystawiła z prawdziwym pijetyzmem dla gienjusza poety i obsadziła z małymi wyjątkami odpowiednio. Wierna pod względem stylu, bajeczna w kolorze i tragiczna w nastroju komnata Barbary, na Wawelu, pozostawiła w pamięci widza niezatarte wrażenie. Pozatem p. Mostowska w roli Barbary zdobyła się na akcenty tak szczerego bólu i głębokiego uczucia, jakich w niej dotąd, po kilku dość sztywnych sylwetkach, nie podejrzewaliśmy. Szczerze jej tego wieszujemy. Przytem zewnętrznym wyglądem w zupełności usprawiedliwiła rozpacz osieroczonego Zygmunta. Rolę króla zbyt deklamował p. Przystański i to z fałszywego tonu, co robiło wrażenie, że chyba więcej mówi o swej boleści niż ją w rzeczywistości odczuwa. Warunki głosowe nie dopisały mu też dnia tego całkowicie. Chłopicki z „Warszawianki“ w bardzo inteligentnej interpretacji p. Skarzyńskiego, obdarzonego silnym i dźwięcznym głosem, nie pozwolił nam żałować świetnych tradycji Knaka Zawadzkiego w tej roli.

Z nowości poważnych dał nam jeszcze teatr „Topiel“, o której choćby ze względu na autora uwielbianego przed dziesięć lat wspomnieć należy. Dramat ciężki w czytaniu, z przewijającą się w nim, właściwą Przybyszewskiemu męczącą nutą fatalizmu — na scenie staje się prawdziwym melodramatem. Trudne, pełne jęków i historycznych wybuchów role dwóch kobiet, przypadły w udziale paniom Leśniowskiej i Żmijewskiej, które z niewdzięcznych tych postaci robiły co mogły. Najmniej wymagająca wysiłku rola jednego z „mocnych ludzi“, Skalskiego miała przedstawiciela w p. Skarzyńskim, który ją oddał z umiarkowaniem zimnym cynizmem. P. Orliński świetnie odtworzył skomplikowaną postać Jelskiego, pod maską degenerata ukrywającego swe subtelne oblicze. P. Rommówna w epizodycznej roli kokoty (doskonała zewnętrzna sylwetka) w akcenty damy z półświatka niepotrzebnie wplatała minoderyjny tonik naiwnej mężateczki.

Quidam.

Wszystkich prenumeratorów naszych, którzy nie uścili dotąd przedpłaty, prosimy uprzejmie o uregulowanie zaległości.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Iza Moszczeńska. *Pod Cierniową Koroną*. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1913 r.

Znana publicystka i działaczka p. Iza Moszczeńska, myśli swe i obserwacje społeczno-życiowe, o wysokim, humanitarnym poziomie oraz indywidualnej interpretacji, utrwaliła, dla uprzyświecenia ogółowi, w formie powieściowej. Ktoby jednak w książce tej szukał podniecającego romansu, powikłań romantycznych, wreszcie erotycznych wybuchów—ten zawiedzionym zostanie najzupełniej. Kto natomiast szuka treści głębszej i postulatów wytycznych, kogo zwłaszcza porusza „do trzewi“, nieskończenie smutna „prawda“ życiowa, jej bóle beznadziejne, fatalizmy, zarówno jak krzywdy krwawe jednostek—ten zaduma się poważnie nad tą dziwną powieścią, i wyczytawszy między wierszami, niedomówione, najtajniejsze myśli autorki, wyczuje tętno serca, przepojonego tym „bólom bólów“, choć pozornie chłodnego, refleksyjnego, chirurgicznym skalepelem rozbierającego wrzody ropiace...

I dobrze się stało, że ideały swe społeczne zamiast jak dotąd w artykuły publicystyczne, nie wszystkim umysłom dostępne, wcieliła autorka w powieść. W ten sposób prędzej czytane będą, prędzej wywołają dyskusję, krytykę—zaś ze sprzecznych zdań i starcia pojęć, wyłania się właśnie owa prawda pożądana, choć różnorodnie rozumiana i odczuta.

„Ten kto ran własnych ukoić chce żary, niech dłoń położy na sercu ludzkości“... czytamy między innymi w tej odrębnej książce—to uczyniła niewątpliwie autorka, przelewając uczucia i przemyślenia własne w przeżycia duchowe bohaterki swej Ireny, poznającej z „dobrowolnego wyboru“ odwrotną, straszną stronę życia, w przebolesnym szpitalu pod „Cierniową Koroną“—tej giehennie cierpień bez nazwy i miary...

Z bystrością uduchowionego ostrowidza-badacza i realizmem prawdy zawsze przekonywującej bo rzeczywistej, przedstawia autorka w śmiałym rzucie psychikę istot, goszczących przejściowo, w tym ponurym, szpitalno-więziennym domu—psychikę najgrubszych i najprostszych, pierwotnych niemal natur dzieci nędzy i ulicy, do wykwintnej, wyrafinowanej psychologii najkulturalniejszych jednostek społecznych. Ścisłe też i sprawiedliwie odtwarza prostolinijne, bezgrzeszne, choć częstokroć rażące jednostronnością rutyny i przesądu wiekowego, altruistyczne sylwetki idejowych opiekunek szpitala, w białych, anielskich kornetach, z różańcem u boku, przeciwstawiając im szorstkie, o mądrym obliczu i myślącym czole postaci ordynujących lekarzy, przedstawicieli ostatnich zdobyczy postępu i wiedzy: dwa prądy biegunowo przeciwne, ścierające się bezustannie, choć zasadniczo dążące do jednego celu—ulżenia cierpiącej ludzkości. Te dwa prądy krańcowo odbijające od siebie, uwydatnione są też subtelnie, w typie ascetycznej, bezwzględnej S. Kasyldy i wyzwolonej z formalistyki zewnętrznej, chrześcijańskiej w duchu—Ireny.

Poprzez to całe morze łez i niedoli, poprzez modły i święte pienia zakonnice, jęki operowanych i konających—poprzez całą tę rozległą gamę mąk i tortur fizycznych, przewija się, niby złota, nieuchwytna nić, miłość wielka dwojga „*wykolejeńców*“

z pod praw wyjętych—męczenników idei najszczytniejszej... Miłość ta idealna, heroiczna, zagrzewająca do czynów nieśmiertelnych, z zapomnieniem własnego, egoistycznego szczęścia, wystrzela niby kwiat mistyczny, ponad tę „kałużę krwi i błota ziemskiego“, upajając przecuciem nadziei bezkresnych, wiecznych...

Oto kilka urywków z kart końcowych, gdy „ofiara“ dopełniona została:... „poprzedzony przez eskortę z karabinami, szedł Jerzy sam, choć z wysiłkiem. Głowę obandażowaną jeszcze trzymał wysoko i wyglądał tak, jak gdyby wodzem był tych zbrojnych ludzi, jak gdyby nie oni jego, lecz on ich prowadził. Szedł jak na bój. Na twarzy jego malował się zupełny spokój i skupiona siła, a wzrok patrzył bystro, mądrze w jakąś odległą przestrzeń... Za nim szli jeszcze zbrojni, potem matka z gołą siwą głową, blada, tragiczna, z suchymi oczami“...

A dalej:... „Iro—pisał Jerzy w testamencie serca (kartce ukrytej między bandażami, wręczonej Irenie przez współczującą S. Matyldę)—nie płacz nademną, nie płacz nigdy... Trzeba sił, hartu, przedewszystkiem. Więc nie poświęcaj się na ofiarę cichą, nie bądź żalobną płaczką ani rozplakaną brzozą cmentarną... Idź w świat. Nie męczeństwa potrzeba, lecz zwycięstwa. Męczeństw było dosyć... Nie szukaj mnie za kratą, nie szukaj w grobie, nie szukaj we wspomnieniu niepowrotnych chwil. Szukaj mnie w tej wielkiej pięknej przeszłości, którą żyłem, którą będę żył do ostatniego tchnienia. Tam już będę zawsze z tobą; tam mnie znajdziesz, tam będzie nasze wspólne wielkie szczęście“...

Czytelniku, weź w rękę powieść „*Pod Cierniową Koroną*“, a wiele tajnych rzeczy duszy twojej powie i o wielu sprawach cię pouczy. A gdy myśl głębsza, brózdą poważnej zadumy przeorze ci czoło, uczujesz się rdzennie „człowiekiem“ w najdostojniejszym znaczeniu tego wyrazu...

E. Wielowiejska.

Nowa placówka postępu.

(„Zbliżka i Zdaleka“, czasopismo tygodniowe dla młodzieży).

W dziedzinie perjodycznych wydawnictw dla dzieci i młodzieży dotychczas panowała u nas nędza. W istniejących pismach przeważnie niepodobniwem się było dosłuchać tętna wymarzonego i wyteknionego nowego życia, dopatrzeć przeblasków ideału Nowego Człowieka. Mazgajowatość sentymentalizmu, miast hartu mocy. Głorzyfikacja miłosierdzia bogatych, pokory, rezygnacji, posłuszeństwa biednych.

Lecz oto, jak nieraz w Polsce bywa, wśród beznadziejności pustkowi wykwita przepiękny kwiat czynu. Z punktu prześciga on wszystko, co w dziedzinie tej istnieje gdzieindziej.

Od dwóch miesięcy wychodzące w Warszawie czasopismo „Zbliżka i Zdaleka“ pod redakcją Stefanji Sempołowskiej i Janiny Mortkowiczowej, próżno szukać będzie spółzawodnika wśród wydawnictw zagranicznych. Redakcja potrafiła skupić w gronie współpracowników najwybitniejsze

siły nasze na polu: literatury, publicystyki i popularyzacji wiedzy. Potrafiła nadać obok pięknej, przyciągająco działającej szacie zewnętrznej, wybitną wartość — bogactwem poruszanych tematów, tonem powagi i entuzjazmu.

„Zbliżka i Zdaleka“ zrodziło wielkie twórcze umiłowanie Polski, znajdujące swój wyraz w usiłowaniach wychowania pokolenia Jutra, które radośnie i zwycięzko Ją ku słońcu wyzwoleń na barkach swych poniesie. Potęgą wiedzy zbratana z płomiennością ideału nie zawiodła, bo nie zawodzi nigdy, stworzyła arcydzieło w swej dziedzinie.

Układ zeszytów „Zbliżka i Zdaleka“, charakteryzuje planowość i żywotność doboru treści (ma się rozumieć bez cienia pogoni za sensacją). Nie ślepy los przypadku decyduje o sąsiedowaniu ze sobą danych prac, ale rozumna celowość. Każdy zeszyt przedstawia pewną zakończoną całość, jednej poświęconą sprawie. Tak pierwszy zeszyt zajmuje się zjawiskami i nastrojami jesieni. Zdobą go nader piękny rysunek Jana Rembowskiego, oraz mistrzowski urywek Stefana Żeromskiego. Następny zeszyt poświęcony jest Litwie, inny wspomnieniom Księcia Józefa, i ten przeszedł chrzest warunków pracy w Królestwie. Inny jeszcze zadedykowany dniu Zmarłych i t. d.

Założyciele przeznaczili „Zbliżka i Zdaleka“ młodzieży.

Jedyny zarzut, który postawić można, to ten, że dla podrastającej młodzieży poziom jego zda się za wysoki. Dla młodzieży natomiast o pewnym już stopniu dojrzałości stanie się, niezawodnie, ukochanym towarzyszem i kierownikiem pracy pozaszkolnej. Lecz i dla dorosłych nie jest pozbawiony wartości: przynosi promień słońca, niejedną ciekawą wiadomość, dodaje zapałem swym sił i otuchy. Wszyscy ci, którzy nie ustają w zabiegach nad zapełnianiem luk swego wykształcenia ogólnego znajdują pomoc. Dlatego sądziliśmy, iż założyciele winni poświęcić go nie tylko młodzieńczości wieku, ale młodzieńczości ducha, t. j. szerokim rzeszom naszych samouków.

Jeżeli jedno pożądanie wyrazić wolno, to życzylibyśmy, co nie wątpimy, iż w następnych numerach nastąpi, aby „Zbliżka i Zdaleka“ uwzględniło cele, motywy i wyniki pracy kooperatystycznej i pobudzało czytelników do spółdzielczego czynu np. w zakresie kooperatywnych przyborów szkolnych. Bo próżno nosić najszczytniejszy ideał w duszy, jeśli się nie zna jedyne go skutecznego środka budowania sprawiedliwości ekonomicznej, od której wszak wszystko inne zależy, lub znając go, nie wciela się go w czyn.

Każdy zeszyt „Zbliżka i Zdaleka“ przynosi dodatek dla dzieci, nazwany trafnie „w Słońcu“, bo istotnie, pełen jest słoneczności.

Powstanie „Zbliżka i Zdaleka“ jest faktem społecznie doniosłym, i nie dziw, iż już sam prospekt tego wydawnictwa wywołał namiętną reakcję naszych żywiołów ciemnych i podłych. Prasa reakcyjna rzuciła się nań z niesłychaną zjadłością: posypały się w nienawiści zrodzone najdziksze, najbezsensowniejsze zarzuty na pismo, które jeszcze nie istniało. *Bluzniono nazwiskom ludzi, któremi Polska ma prawo i obowiązek się szczycić.*

Lecz złość i głupota ludzka bezsilna jest wobec wiedzy i wiecznego znicza społecznych umiłowań. W końcu muszą ustąpić. A może wściekłość ich teraźniejszych ataków to znak, że policzone już

dni ich bytowania na ziemiach Polski. Jedno jest pewne: każdy zwolennik postępu uznaniem swym, sympatją, całą wogóle potęgą uczuć swej czuje się zbratany z tą nową placówką — której los od zarania dni nie szczędził cierni.

Słowem, trudno znaleźć bardziej wdzięcznego, pożytecznego i pięknego upominku na nadchodzącą gwiazdkę, jak zaprenumerowanie sobie czy innym „Zbliżka i Zdaleka“.

M. Orsetti.

PRASA POLSKA.

— Sprawa samorządu miejskiego w Królestwie Polskim nie schodzi z lamów pism warszawskich. Wszelkie wiadomości, nadchodzące z Petersburga o nastrojach, panujących w sferach miarodajnych względem projektu samorządowego — są żywo omawiane i poddawane mniej lub więcej przenikliwej analizie.

W numerze z d. 16 (29) b. m. „Słowo“ warszawskie zamieściło następującą enuncjację.

„Prezes Rady ministrów Kokowcow udaje się na południe, ponieważ dla udzielenia nowej wskazówki w sprawie poprawki Stiszińskiego i Hurki, okazała się konieczność przejrzania wszystkich materiałów, na których podstawie wydana została w czerwcu roku bieżącego pierwsza wskazówka. P. Kokowcow zawieźć ma z sobą piśmienną opinię prezesa Rady państwa Akimowa. Będzie to połączone z pewną trudnością, ponieważ p. Akimow zapadł dość ciężko na zdrowiu. Oprócz sprawy samorządowej są inne sprawy ogólnopolskiego znaczenia, które zniewalają prezesa Rady ministrów do osobistego przedstawienia stanu rzeczy, jest to mianowicie zasadnicza zmiana stanowiska państwowych wobec rządu oraz wybór prezydium Dumy państwowej, który wypadł w duchu opozycyjnym. W tych dwóch ostatnich sprawach miał również osobiście referować minister spraw wewnętrznych, Maklakow. Trudno przypuścić, żeby Maklakow, referując o nowym układzie sił partyjnych w Dumie, nie dotknął ani jednym słowem sprawy języka w obradach samorządowych. Związka, że sprawa ta wchodzi bezpośrednio w zakres jego wydziału. Ponieważ poglądy pp. Kokowcowa i Maklakowa w sprawie językowej różnią się dość znacznie, więc w tej chwili trudno przewidzieć, który z tych poglądów zwycięży“.

Wiadomość powyższą „Kurjer Poranny“ zapatruje w komentarz ironiczny, p.t. „Dwie metody“.

„Dla interesu polskiego jest oczywiście obojętne, który z tych poglądów zwycięży, bo oba zwracają się przeciwko polskości i jej naturalnym prawom, jeden gwałtowniej w formie, drugi dotkliwie w treści. Wnosząc z tego przedstawienia rzeczy, sprawa sporu o samorząd pomiędzy stronami rosyjskimi jest tylko kwestją rywalizacji dwóch metod w ogólnej polityce biurokratycznej, metody ostrzejszego czy łagodniejszego tonu, metody szczeroci czy pozorów. Metoda pierwsza jest niewątpliwie cięższa, ale niewątpliwie krótsza; metoda druga jest znośniejsza i ma dzięki temu warunki długotrwałości. Wyobraźmy sobie, że państwo rosyjskie jest pacjentem, który przeszedł przez silne ataki konwulsji i leży przykuty do łoża. Nad tem łożem pochyla się dwóch lekarzy, którzy niezupelnie z sobą są zgodni co do djagnozy, ale obaj stawiają djagnozę błędną; nieszczęśliwy pacjent instynktownie odczuwa błędność i jednej i drugiej djagnozy i myśli tylko o tem, jak długo może ta kuracja potrwać. Jeden z eskulapów, chirurg, mówi, że kuracja musi być bezwzględna i radykalna, choćby pacjent miał dużo cierpieć; drugi, aleopata, twierdzi, że pacjenta należy oszczędzać, stosować środki łagodniejsze i uzbroić się w cierpliwość, byleby tylko nie marzył o tem, że kiedykolwiek będzie się mógł obejść bez kuracji.“

Pacjent nie ma oczywiście żadnej możliwości wyboru, ale choć kurczą mu się szczęki na myśl o słodyczach kuracji pierwszej, z pewnością z większym niepokojem myśli o drugiej.

Ostatecznie pierwsza z tych metod wygospodaruje się bardzo prędko, i jeżeli pacjent będzie mógł ją przetrwać, ma pewne szanse wyjścia z łóżka, gdy go już lekarz o silnej pięści opuści; druga metoda daje perspektywę leżenia w łóżku aż do późnej starości“.

— Znany publicysta p. Wł. Studnicki w „Gońcu“ warszawskim poddaje ostrej krytyce politykę endecji galicyjskiej.

„Przyszły historyk polityczny Galicji, pisząc o endecji, sparafrazuje słowa Kraszińskiego: „I coraz podleg tam w tej partji było“. Jeszcze przed sześciu miesiącami partja ta wraz z podolakami i centrowcami srożyła się na przyznanie rusinom 27 proc. mandatów sejmowych i wyboru do Wydziału Krajowego rusinów nie przez cały sejm, ale przez posłów ruskich, uważając tę ostatnią reformę za początek podziału kraju, za stworzenie kurji narodowych. Endecja, proklamując walkę z naszymi krzywdami, zawartemi w projekcie bloku, ratowała swą reputację mocno zaszarganą jej stanowiskiem w polityce zewnętrznej podczas przeszłej zimy. Dziś za cenę dwumandatowości i proporcjonalności okręgów w kilku miastach i w szeregu okręgów wiejskich Galicji Zachodniej, endecy zgadzają się na postulaty ruskie, uprzednio uznawane przez nich za niebezpieczne. Trzeba im obecnie odwrócić uwagę społeczeństwa od swej kapitulacji. Rozpoczyna się więc przygotowanie do akcji antyżydowskiej w Galicji. Gdyby w rzeczy samej endekom chodziło o obronę kraju przed agresywnością rusinów, wobec zwiększającego się niebezpieczeństwa ruskiego, endecy nie proklamowali by walki z żydami. Naszą przewagę w Galicji Wschodniej nad rusinami w znacznej mierze zawdzięczamy lojalności żydów galicyjskich względem nas. Swej siły materialnej i liczebnej nie nadużywali żydzi galicyjscy dla przeprowadzenia zbyt wielkiej ilości żydów do sejmu lub parlamentu, z małemi wyjątkami lojalnie wstępowali do Koła Polskiego. Postulaty więc endeckie, centrowe i podolskie odseparowania wyborczego chrześcijańskiej i żydowskiej ludności nie są wywołane aktualnym niebezpieczeństwem, ale chęcią przeprowadzenia klerykałów i endeków za cenę jednoczesnego wprowadzenia sjonistów do sejmu“.

Przytaczamy opinię powyższą jako głos działacza, którego nie można podejrzewać o obojętność względem interesów narodowych. P. Wł. Studnicki przeciwnie jest skrajnym nacjonalistą i stanowczym przeciwnikiem wszelkich ustępstw na rzecz spółobywateli innej narodowości. W swych wystąpieniach jednak jest zupełnie szczerym i niezależnym, co pozwala mu sądzić bezstronnie działalność pp. Grabskich i Zamorskich.

Uchwały październikowców.

W ostatnim dniu obrad zjazdu październikowców, Al. Guczkow wniósł projekt uchwały, która po krótkiej i ożywionej dyskusji przyjęta została jednogłośnie. Uchwała ta, nie pozbawiona znaczenia politycznego w życiu społeczeństwa rosyjskiego, brzmi w przekładzie, jak następuje:

„Zjazd związku 17 października, odbyty w d. 7 do 10 listopada 1913 r., omówiwszy kwestję społecznej ogólnej sytuacji politycznej, stosunku względem niej związku 17 października i zamierzonej dalszej taktyki związku,—biorąc pod uwagę:

1) iż odrodzenie Rosji powinno być oparte na niezachwianych podstawach ustroju konstytucyjnego i zasadach wolności obywatelskiej;

2) iż rząd, zjednoczony wspólnemi celami i odpowiedzialny przed prawem, powinien uczynić podsta-

wą swych stosunków względem Dumy państwowej uznanie wysokiego autorytetu przedstawicielstwa narodowego i zapewnienie mu w życiu państwowem należytego uznania;

3) iż rząd obowiązany jest pomyśleć o tem, aby Rada państwa nie stawała się sztucznym hamulcem działalności prawodawczej;

4) iż dla ustalenia i wprowadzenia w życie zasadniczych czynników ustroju prawnego powinny być zaprowadzone prawa, istotnie gwarantujące wolność sumienia, prasy, zebrań, związków oraz osobistą nieetykalność;

5) iż rząd obowiązany jest przedsięwziąć stanowcze i nieugięte środki w tym celu, aby administracja podporządkowała się normom porządku prawnego i aby wszyscy przedstawiciele administracji nieśli istotną odpowiedzialność za naruszenie praw.

6) iż jednym z pierwszych i najważniejszych środków powinno być zniesienie ustaw wyjątkowych, których dalszego utrzymania nie wymaga społeczny stan państwa;

7) powinna być przeprowadzona szeroka polityka państwowa, skierowana ku podniesieniu duchowemu i materialnemu mas ludowych;

8) oraz zapewniona zupełna swoboda wyborów do Dumy państwowej i stanowczo usunięte wszelkie wtrącanie się władz do tych wyborów;

9) iż wszystkie te zasady, będące podstawami wszelkiego kulturalnego spólzycia, otrzymały w niezbyt odległej przeszłości uroczyste uznanie ze strony Władzy Najwyższej w szeregu aktów państwowych i przedewszystkiem w akcie z d. 17 października;

10) iż rząd obecny i społeczny kurs rządowy są w całkowitej niezgodzie z zapowiedzianemi w manifestach zasadami życia państwowego i społecznego; tracąc wobec tego wiarę w chęć rządu, wykonania stanowczej Woli Monarchy, wyrażonej w manifestach z d. 17 października, i z niepokojem stwierdzając rozwijającą się niezgodę władzy ze społeczeństwem i organami samorządu, a także ukazujące się w kraju groźne oznaki narzekania i niezadowolenia, które wytwarzają nastrój rewolucyjny—uznaje:

1) iż związek 17 października za pośrednictwem wszystkich swych organów i poszczególnych członków powinien przyczynić się za pomocą wszelkich sposobów legalnych do stałego i natychmiastowego wprowadzenia wskazanych zasad w życie rosyjskie, i

2) iż frakcja parlamentarna związku 17 października, jako jego organ, najlepiej uzbrojony w środki oddziaływania, powinna wziąć na siebie nieugiętą walkę ze szkodliwemi i niebezpiecznemi kierunkami polityki rządowej i z temi objawami samowoli i naruszania praw, skutkiem czego tak bardzo cierpi życie rosyjskie, oraz prawodawcze przeprowadzenie wzmiankowanych zasad. Frakcja parlamentarna powinna wyzyskać całkowicie wszystkie legalne sposoby walki parlamentarnej, jako to: wolność trybuny, prawo interpelacji, odrzucania projektów ustawodawczych i odmowy kredytów.

Odpowiedzialna praca i ciężka walka, jakie oczekują frakcję parlamentarną, wymagają od niej najwyższego napięcia sił i zupełnej zgodności w jej czynnościach oraz solidarności jej szeregow“.

Tak brzmi w całkowitej redakcji ta znamienita z wielu względów uchwała. Wywołała ona duże zainteresowanie w prasie rosyjskiej, która jednak na ogół nader sceptycznie się zapatruje na szczerść i trwałość intencji opozycyjnych w łonie oktobrystów.

Większość bez znaczenia.

Mowa wstępna prezesa Dumy zwykle bywa wypadkiem politycznym. Mowy tej oczekiwano z niecierpliwością i słuchano uważnie, ponieważ uważano ją za miarodajną ocenę bieżącej chwili politycznej. Obecnie czasy zmieniły się. Posłowie sami przyznają, że „nie należy przywiązywać do mowy p. Rodzianki wielkiego znaczenia, że nie była to mowa programowa, lecz mowa, wskazana przez okoliczności — wynik długich pertraktacji dyplomatycznych“.

Stwierdzając ten fakt, organ kadetów, „Riecz“, zamieszcza uwagi następujące.

„Położenie prezesa Dumy rzeczywiście było trudne. Nacjoniści wprost zjawili się u p. Rodzianki, zaczęli badać go — i, otrzymawszy zapewnienie, że mowa wstępna będzie minimalnie opozycyjną, zgodzili się głosować na niego.

„Zwycięzców nie należy sądzić. A zwycięstwo było świetne, gdyż p. Rodzianko otrzymał 272 głosy, przeciw zaś niemu głosowało zaledwie 70 posłów. Większość więc jest bardzo pokazna, zdolna do rozwiania wszelkich obaw co do przyszłości Dumy. Taka większość, jaka głosy swe oddała p. Rodziance, zabezpiecza Dumie stałą zdolność do pracy.

„Lecz radość z powodu zwycięstwa osłabia ta okoliczność, że wszyscy są z niego niezadowoleni. Nietylko opozycja dumska, lecz nawet lewe skrzydło październikowców, rozczarowały się co do mowy p. Rodzianki. Nacjoniści, ma się rozumieć, również nie mogą być zadowoleni, oni bowiem przyjęli tę mowę jedynie jako możliwy kompromis. No, a o prawicowcach niema co mówić.

„Jeżeli jednak chodziłoby tylko o samą mowę, to wogóle nie wartoby o tem mówić. Czy p. Rodzianko wypowiedział ją słabiej, niż w roku zeszłym, i jakie rokowania dyplomatyczne ją poprzedzały — to naprawdę nikogo by nie obchodziło. Lecz nacjoniści nie dla kaprysu swego chcieli zawczasu wiedzieć, co powie p. Rodzianko.

„Nacjoniści uważali mowę prezesa za deklarację polityczną i przedewszystkiem interesowali się tem, jaki jest stosunek jej względem osławionej rezolucji październikowców. P. Rodzianko oświadczył im, że mowa jego nie będzie miała nic wspólnego z tą rezolucją. Nacjoniści na to przystali, lecz wszyscy inni byli nie zadowoleni.

„Obecnie więc należy rozważyć dwie ewentualności: albo mowa p. Rodzianki rzeczywiście nie ma żadnego znaczenia i nie przesądza o przyszłej działalności Dumy, a w takim razie piątkowa większość nie ma żadnego znaczenia poważniejszego; albo też mowa ta rzeczywiście wyobraża przepaść pomiędzy programem Dumy a rezolucją październikowców, lecz w takim razie większość piątkowa też nie ma znaczenia.

„Ostatecznie zwycięstwo stało się nadzwyczaj dziwnem. Biurokracji często udawało się otrzymywać takie zwycięstwa, lecz ona cenila w nich tylko pozory. Żeby jednak i dla Dumy była ważna tylko świadomość imponującej większości, jest to bez kwestji *le dernier cri*“.

KRONIKA.

= Adam Mahrburg.

D. 7 (20) b. m. po kilkumiesięcznych cierpieniach zmarł w Warszawie wybitny uczony polski Adam Mahrburg. Urodzony w r. 1860, ukończył gimnazjum w Mińsku, studja uniwersyteckie na wydziale historyczno-filozoficznym w Petersburgu; następnie udał się do Lipska, gdzie pracował w laboratorium psychologicznem Wundta. Po powrocie do kraju osiadł w Warszawie, gdzie oddał się pracy publicystyczno-naukowej i pedagogicznej.

Adam Mahrburg odznaczał się niepospolitą rozległością wiedzy, pracowitością na polu piśmiennictwa filozoficznego i talentem pedagogicznym.

Obszerną charakterystykę działalności naukowej i obywatelskiej umarłego uczonego pióra p. St. Posnera zamieściliśmy w № 18—19 „Przeglądu Wileńskiego“.

= Przejście z prawosławia na katolicyzm w gub. mińskiej.

Według „Siew.-Zap. Żiźni“ w pow. mińskim (włącznie z m. Mińskiem) podało prośby o pozwolenie przejścia na katolicyzm w r. 1911 — 127 osób (44 mężcz. i 83 kob.); w r. 1912—108 osób (34 mężcz. i 74 kob.) i w r. 1913 — 63 osoby (29 mężcz. i 34 kob.). Wskutek perswazji duchowieństwa prawosławnego cofnęło prośby w r. 1911 | 16 osób (8 mężcz. i 4 kob.).

W całej gub. mińskiej w r. 1913 złożyło prośby o pozwolenie zmiany prawosławia na katolicyzm 199 osób (68 mężcz. i 131 kobiet).

= Język rosyjski w Finlandji.

Jak donoszą z Helsingforsu do pism moskiewskich, w senacie finlandzkim opracowywany jest projekt nowego znacznego rozszerzenia programu wykładów języka rosyjskiego w szkołach średnich.

W szkołach szwedzkich projektowane jest zwiększenie liczby lekcji języka rosyjskiego na koszt lekcji fińskiego. W szkołach fińskich, których jest znacznie więcej, zwiększenie to dokonane ma być kosztem lekcji języka szwedzkiego. Wogóle postawiona ma być zasada, aby abiturjenci szkół średnich mogli swobodnie mówić po rosyjsku.

Projektowane jest również zaprowadzenie w uniwersytecie obowiązkowych egzaminów z języka rosyjskiego dla studentów prawników, pragnących wstąpić na służbę państwową.

W niedalekiej przyszłości postawione ma być żądanie, aby niektórzy profesorowie uniwersytetu zaczęli prowadzić wykłady w języku rosyjskim. Ze względu na brak odpowiednich do tego celu profesorów finlandczyków mają być zaproszeni uczeni rosyjscy.

Uniwersytet w Helsingforsie posiada wprawdzie własną autonomję, ale członkowie senatu, inicjujący zarządzenia powyższe, liczą na pomoc byłego prezesa senatu, generała Markowa, mianowanego niedawno kanclerzem uniwersytetu.

Treść numeru.

Za wiele i za mało—L. A.

Sentymentalizm polityczny.—B. H.

Kto jest winowajcą.—J. S.

Wytarte hasło.—J. Marciniowska.

O kształceniu politycznem „Obywatela“. — St. Posner.

Miecz Olbrzyma.—B. Zahorski.

O teatrze.—Quidam.

Przegląd piśmienniczy.—S. Wielowieyska.

Nowa placówka postępu.—M. Orsetti.

Prasa polska.

Uchwały październikowców.

Większość bez znaczenia.

Kronika.

Odcinek: „Ostatni Idjota“ — M. K. Pawlikowski.

„MINERWA“ FABRYKA MASZYN i NARZĘDZI ROLNICZYCH ORAZ ODLEWIA ŻELAZA

M. REKOSZA w Kownie

Wykonują: Turbiny wodne, młyny, wiatraki, transmisje kompletne. Wszelkie konstrukcje żelazne: wiązania dachowe, ogrodzenia, bramy, balkony. Odlewy żelazne i lano-kute, surowe lub obrobione, z własnych lub nadesłanych modeli: krzyże, pomniki, ławki, schody proste i kręcone, kolumny i t. p.

☼ ☼ Cenniki i oferty wysyłają się bezpłatnie. ☼ ☼

Kowieńskie Stowarzyszenie Rolnicze

Zarząd w Kownie, Sadowa, dom własny.

Składy: w Kownie, Poniewieżu, Szawlach, Kiejdanach, Rakiszkach i Wiłkomierzu.

Narzędzia i maszyny rolnicze.

SIEWNIKI rządowe radełkowe, talerzowe i kombinowane. Siewniki do nawozów sztucznych.

BRONY i kultywatory sprężynowe, brony łąkowe i polne.

PLUGI krajowe, zagraniczne i własnego wyrobu, przegonowce, pogłębiacze.

DWUSKIBOWE różnych systemów WIĄZAŁKI, żniwiarki i kosiarki amerykańskie i angielskie.

GRABIE konne żelazne i drewniane amerykańskie.

MŁOCARNIE maneżowe Elworthiego i inne.

MŁOCARNIE parowe Clayтона & Schuttlewortha i Hofherra i Szrantza.

BUKOWNIKI do koniczyny, prasy, elewatory do słomy, samopodawacze do młocarni parowych.

WIALNIE i młynki krajowe i zagraniczne, Trieury Marot'a i inne, żmijki, sortowniki do kartofli.

SIEKACZE, sieczkarnie, śrótowniki, rozdrabiacze do makuchów.

Narzędzia mleczarskie.

NASIONA traw i roślin pastewnych i ogrodowych.

NAWOZY sztuczne krajowe i zagraniczne: superfosfat, tomasówka, kainit i sole potasowe, saletra, mąka kostna, gips, wapno.

KOMISOWA sprzedaż zboża, kartofli, makuchów i otrębów.

===== CENNIKI NA ŻĄDANIE. =====

BIURO PARCELACYJNE i LEŚNE

SPECJALISTY LEŚNIKA **Józefa Łastowskiego** (byłego p. o. Członka Banku Włociańskiego)
 Wilno, просп. Ś-to Jerski, dom № 43, m. 5. — Telefon 14-69.

Parcelacja, likwidacja
 majątków ziemskich z udziałem Banków Ziemskich
 i Włociańskiego.
 Szacowanie majątków przy ich kupnie i sprzedaży.



Urządzenie gospodarstw leśnych
 szacowanie lasów oraz wykonywanie innych robót
 w zakres leśnictwa wchodzących.
 Informacje od godz. 12 do 1 i od 5 do 6 wieczór.

AMELIN

Warszawa-Mokotow,
 ul. Nowo-Aleksandryjska № 65.

Zamknięty Zakład Lecznicy dla nerwowo-chorych kobiet i mężczyzn.

Dyrektor Zakładu Dr. med. R. Radziwiłłowicz.

Komitet leczniczy: Doktorzy: M. Bornstein, E. Flatau, W. Gajkiewicz, W. Męczkowski, St. Orłowski, A. Puławski, R. Radziwiłłowicz. — Konsultanci zakładowi: R. Bernhardt (syfisy i choroby skórne), T. Gryglewicz (rozbiory lekarskie), A. Natanson (ginekologja), E. Zieliński (choroby wewnętrzne).

Wiadomość na miejscu, telefony 99-54, 303-38.

WILEŃSKA KASA RZEMIEŚLNICZA

zaulek Ś-to Michalski № 14.

Przyjmuje kapitały tudzież oszczędności (od 1 rubla) na lokatę.
 Wydaje pożyczki od rb. 10 do 100-tu.

Otwarta w poniedziałki, środy i piątki od godz. 6 do 8 wieczorem.

Śpieszcie nabywać działki ziemi w Zwierzyńcu.

Do sprzedania pozostała szczupła ilość gruntu. ——— Obszar parceli według życzenia nabywców.

CENY NIZKIE. :—: WARUNKI DOGODNE.

Są w niewielkiej ilości parcele przy rzece. Po informacje należy zwracać się do Biura sprzedaży parceli w Zwierzyńcu

Wilno, „Zwierzyniec“.

rospekt Ś-to Jerski d. № 68. Haase. (drugi dom od mostu Zwierzynieckiego). Telef. № 46.